

# Wilczki z Karasia

Miarą klęski „Dożywocia” w Teatrze Polskim w Warszawie jest cisza panująca na widowni

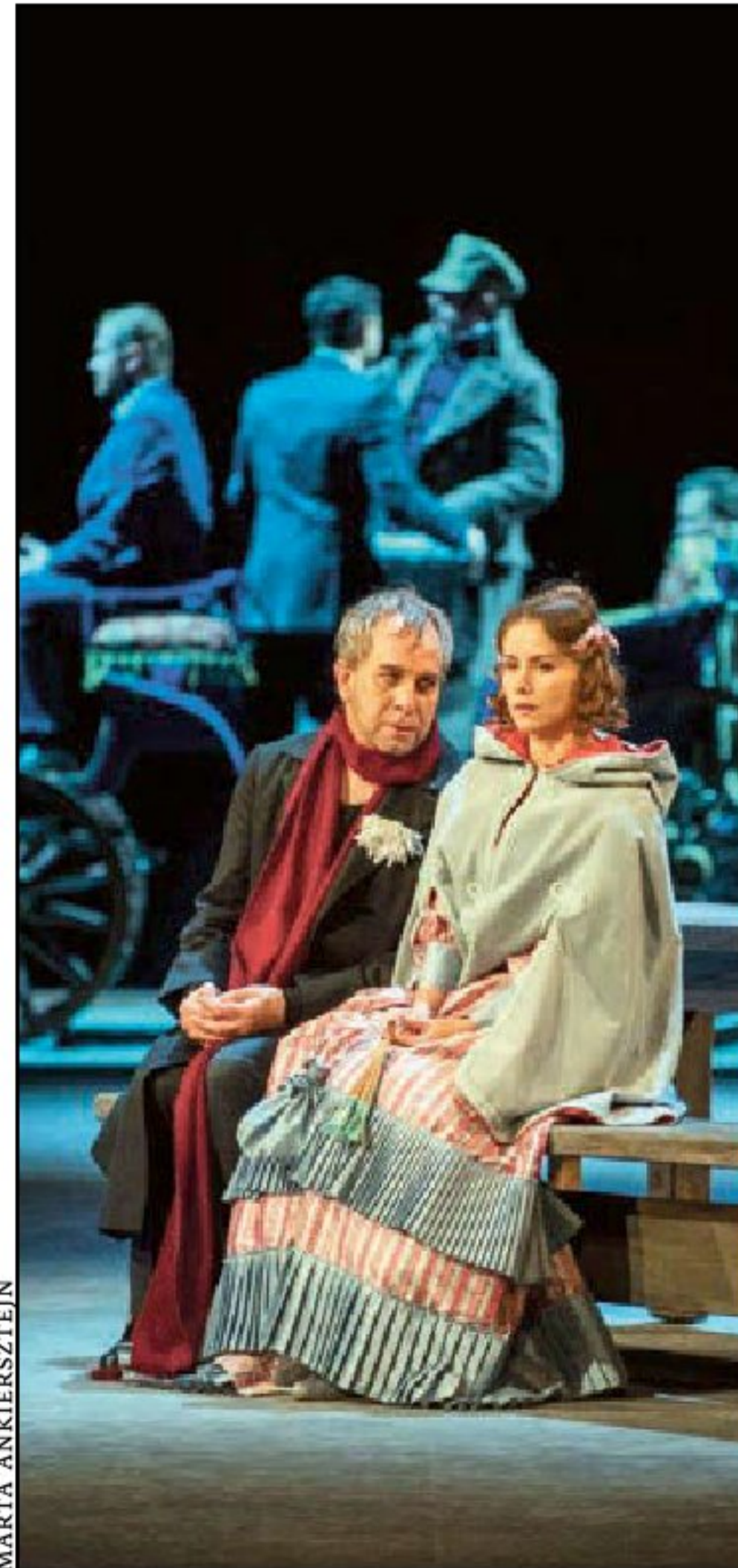
Jacek Wakar, Polskie Radio

**M**ocno zdziwiłem się, gdy się dowiedziałem, że to Filip Bajon przygotowywać będzie w Polskim komedię Fredry. Nie dlatego, bym artyście nie cenił – przecież spod jego ręki wyszedł chociażby „Magnat”, w mojej opinii jeden z najwybitniejszych polskich filmów wszech czasów. A jeszcze „Aria dla atlety”, „Wahadełko” – miejsca w historii rodzimego kina nikt Bajonowi nie odbierze. Niemniej w ostatnich latach przeżywa on regres formy, czego dowodem były „Panie Dulskie”. Najistotniejsze jednak, że poprzednia próba Bajona z Fredrą – ekranizacja „Ślubów panińskich” – zakończyła się najbardziej spektakularną z kłap.

Niemniej opowiadał reżyser, że ucieszył się z propozycji dyrektora Teatru Polskiego Andrzeja Seweryna, na nowo przeczytał dramat Fredry, a ten go porwał. Było czym, rzeczywiście. Rytm ósmiozłogowca, humor złą-

czony z goryczą opowieści i przenikliwością rysunku ludzkich charakterów, wreszcie możliwość licznych odniesień do współczesności – aż dziw, że jedna z najwybitniejszych komedii autora „Zemsty” ostatnio trafia na sceny raczej rzadko. Pamiętam sprzed lat już prawie dwudziestu spektakl Andrzeja Łapickiego z Wojciechem Pszoniakiem (Łatka) i Ignacym Gogolewskim (Twardosz) oraz późniejsze świetne przedstawienie Jana Englerta z Narodowego. Lichwiarza zagrał w nim sam reżyser, Twardoszem, którego ciągle mam przed oczami, był nieodżałowany Igor Przegrodzki. Było, ale minęło.

W Teatrze Polskim Filip Bajon łączy „Dożywocie” z „Wilkiem z Wall Street” Martina Scorsese. Pomysł niezły, w końcu i sztuka, i film mówią mniej więcej o tym samym – żądzy pieniądza, która podsuwa wszelkie bezceństwa. Tyle że u Bajona kończy się na cytatach niezdarnych i wulgarnych. Duża część akcji dzieje się w domu giełdy, gdzie wyświetla się



kursy firm, ale i cenę dożywocia oraz – o zgrozo – ośmiorniczek. Po scenie uwijają się niemi maklerzy w białych koszulach i czerwonych szelkach, żeby nikt się nie pomylił. Jedna z pań chodzi z gołym biustem – taki pomysł na uatrakcyjnienie widowiska. Współczesny kostium nie wchodzi tu w żadną relację z tekstem Fredry. Jest wyłącznie tandetną dekoracją, która sprowadza „Dożywocie” kilka pięter w dół, a i krępuje aktorów, zmuszonych do dziwacznej choreografii. Można oczywiście przeczytać utwór Fredry przez krwiożerczy kapitalizm, tyle że Bajon zatrzymał się na powierzchni.

Sprawia to, że ginie intryga sztuki. Mało kto zrozumie motywację Leona Birbanckiego (Krzysztof Kwiatkowski brak vis comica nadrabia różnymi grymasami – efekt jest fatalny), niewielu pojmie, o co w istocie chodzi Łatce. Jarosław Gajewski to artysta wybitny, tworzy partię dopracowaną w szczegółach, dokładną w ruchu, kroku, geście i melodii głosu. Rola w starym stylu aktorskiej transformacji zapewne świetnie broniłaby się w wielu innych „Dożywociach”. Tu jednak stanowi dysonans w rozbitym stylistycznie

widowisku, chociaż stanowi jedyny chyba jego jasny punkt.

Inni aktorzy – częstokroć znakomici – albo nie znajdują klucza do swych bohaterów, albo szansę odbiera im gorliwy inscenizator. Piotr Cyrwus (Orgon) gra karykaturę szlachciury z sumiastym wąsem, Szymonowi Kuśmidrowi (Twardosz) sprezentowano idiotyczną fryzurę jak z idiotycznej kreskówki. I co by aktor nie zrobił, patrzy się tylko na jego włosy. Żal Marty Kurzak, bo na jej Rózię nikt nie miał pomysłu. O sekwencji, gdy zza parawanu wylatują ciuszki Rózi i Leona, z litości oraz ze wstydu wolę milczeć.

Reżyser mnoży wątpliwe atrakcje, aktorzy się starają, tymczasem na widowni całkowita obojętność. Prawie żadnego śmiechu, a przypominam: „Dożywocie” jest komedią. Jedną z najlepszych, jakie po polsku napisano. Spektakl na scenie przy Karasia działa jak skuteczna antyreklama teatralnej klasyki. ©

„Dożywocie” Aleksandra Fredry  
| reżyseria: Filip Bajon | Teatr Polski  
w Warszawie